

"Wyklęci". Mord na najlepszych synach Polski

Źródło: Onet



Prezesi WiN: Łukasz Ciepliński, Franciszek Niepokólczycki i Jan Rzepecki

Każdego dnia ryzykowali życiem dla Polski. Władze "podziękowały" im jednak w okrutny sposób. To było morderstwo w majestacie prawa. Historia cynicznej zdrady jest porażająca. Tragedia trwała latami.

Narodowy Dzień Pamięci "Żołnierzy Wyklętych" po raz pierwszy obchodziliśmy przed rokiem. Ale dlaczego akurat 1 marca? Tego dnia, w 1951 r., zginęli członkowie IV Zarządu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość – najliczniejszej tajnej organizacji w powojennej Polsce.

Potraktowano ich bezlitośnie. Spośród czterech Zarządów WiN, jakie ludowa władza zdołała wyaresztować, ten był ostatnim. Czterech prawdziwych Zarządów – zastrzeżmy – bo miał powstać jeszcze jeden, tym razem już fikcyjny i w całości kontrolowany przez bezpiekę.

Czym było Zrzeszenie WiN w powojennej Polsce? I na czym polegał tragizm jego sytuacji, od chwili zawiązania aż do pojmania jego ostatnich szefów?

W przededniu nowej okupacji

Już w roku 1943 stawało się jasne, że Polska stoi przed groźbą nowej okupacji. Zaczęto więc tworzyć struktury, które mogłyby zastąpić w takich warunkach antyhitlerowskie podziemie. Tak powstały plany tajnej organizacji "NIE". Miała ona łączyć cechy AK i władz cywilnych, a jej głównym celem miała być samoobrona i podtrzymywanie morale polskiego społeczeństwa w oczekiwaniu na wojnę Zachodu z ZSRR.

Ciosem dla tej konspiracji były jednak akcja "Burza" i powstanie warszawskie – po prostu wielka liczba żołnierzy wzięła udział w walkach, a więc: ujawniła się. Już po rozwiązaniu Armii Krajowej aresztowano najważniejsze osoby w planach "NIE": płk. Fieldorfa "Nila" i gen. Okulickiego "Niedźwiadka". Tajna w założeniach "NIE" została już na starcie zdekonspirowana, zresztą Sowieci wiedzieli o niej już od czerwca 1944 r.

Terror NKWD i polskich służb bezpieczeństwa szalał w całym kraju i odpowiadały mu zbrojnie nieskoordynowane ataki poakowskiej partyzantki. Nowe ciało – Delegatura Sił Zbrojnych – stanęło przed dramatycznym wyborem: dalszej walki zbrojnej nie zalecało, ale i bez niej niedawni akowcy padali ofiarami represji.

Zachodnie mocarstwa przestały uznawać rząd emigracyjny i to była zapowiedź zostawienia Polski na pastwę Stalina. Od działań Delegatury odciął się premier Mikołajczyk, szukający możliwości kompromisu z komunistami.

Stanął przed władzami wybór dramatyczny: uznawanie działań zbrojnych w wykonaniu partyzantki równałoby się wypowiedzeniu wojny domowej i dałoby komunistom nie tylko argumenty propagandowe, ale i pretekst do wzmożenia terroru. Ale nawoływanie żołnierzy do złożenia broni i ujawniania się ściągało na nich nie mniejsze wcale niebezpieczeństwo.

Sztuka walki bez walki

Choć Polska trafiała więc pod nową okupację, trzeba było działać inaczej niż w realiach niewoli hitlerowskiej.

Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji – "Wolność i Niezawisłość" zrodził się we wrześniu 1945 r. Nazwa była wymowna. Choć prawie 80 proc. kadry kierowniczej WiN miało akowską przeszłość, nowa organizacja odrzucała rozwiązania zbrojne. "Nie wolno nam walczyć zbrojnie! Nie będzie żadnych Tobruków czy Monte Cassino – czeka nas codzienna, mrówcza i bardzo drobiazgowa praca" – pisano w jednym z winowskich periodyków.

Jedyną szansą na niepodległość, czyli zniesienie sowieckiej dominacji, miała być III wojna światowa. W dokumentach WiN pojawiały się rachuby, że jeśli wojna wybuchnie przed rokiem 1950, to Zachód będzie w stanie pokonać ZSRR. Bieżąca sytuacja była z tej perspektywy "antraktem między wojnami", okresem przejściowym, który należy przetrwać przy jak najmniejszych stratach.

WiN zamierzało walczyć metodami politycznymi i propagandowymi, wspierając w perspektywie wyborów do Sejmu jedyną legalną opozycję: Polskie Stronnictwo Ludowe. Było więc Zrzeszenie WiN w zamyśle czymś w rodzaju niezależnej partii, tyle że próbującej otoczyć polityczno-organizacyjną ochroną żołnierzy dawnej AK.

Ale wielu byłych żołnierzy tejże uważało WiN po prostu za kontynuację AK pod innym szyldem. "Góra" zalecała rozwiązywanie oddziałów zbrojnych, ale nie miała żadnej władzy, by to wyegzekwować. Żołnierze pomniejszych grup nadal rozumieli opór głównie jako walkę zbrojną. "Panie komendancie, ja nie uznaję tytułu «prezes», my nie jesteśmy cywile, ale wojsko" – usłyszał jeden z ważnych winowców na terenie Okręgu Białostockiego.

Oparcie WiN na terenowych strukturach AK pozwoliło uczynić ze Zrzeszenia największą tajną organizację po wojnie (liczyła 20-30 tys. ludzi). Ale to było też źródło słabości – ta odziedziczona struktura była już od dawna rozpracowywana przez NKWD.

Amnestie, czyli jak rozbijano od dołu

NKWD i polska bezpieka uderzały w podziemie na różne sposoby. Ścigano nie tylko tych, którzy nie złożyli broni i wypowiedzieli władzy ludowej otwartą wojnę. Wrogami byli też ci, którzy już nie walczyli, ale obawiali się ujawnić. Im obiecywano darowanie win.

Zaczęło się od tzw. amnestii "Radosława". W sierpniu 1945 r. bezpieka aresztowała Jana Mazurkiewicza – pułkownika AK, bohatera powstania warszawskiego. "Radosław"

zaapelował z więzienia o ujawnianie się i posłuchało tego wezwania blisko 50 tys. żołnierzy.

Ale amnestia była podwójnym oszustwem. Nie tylko obiecywała "łaskę" – tak jakby doszło do jakiegokolwiek przestępstwa. Tajne instrukcje dla UB nakazywały, by ujawniających się akowców po ich ewidencji "internować i odosobnić". Było to więc narzędzie do odławiania prawdziwych i domniemyanych wrogów nowego ustroju. Żaden z nich nie mógł się czuć w nowej Polsce bezpiecznie.

W lutym 1947 r. była jeszcze jedna amnestia. Z podziemia wyszło wtedy ponad 70 tys. ludzi – nie tylko członków WiN, choć po niej Zrzeszenie zostało praktycznie zdziesiątkowane. I znów na tych, którzy się wtedy ujawnili, po paru miesiącach miały spaść represje.

Zdrady i obietnice, czyli jak rozbijano od góry

Sprawa "Radosława", oskarżanego przez podziemie o zdradę, była dopiero zapowiedzią. Bezpieka nie raz jeszcze miała pokazać, że umie używać mieszanki wiarołomnych obietnic, gróźb i tortur. Schwytych przywódców podziemia próbowano wykorzystywać, aby uzyskać "wyjście" na ich towarzyszy. Wynikały z tego nie tylko masowe wsypy, ale i jednostkowe tragedie.

Najważniejszych ludzi I Zarządu WiN pojmano, bo ujawniła ich jedna z zasłużonych onegdaj kurierek Komendy Głównej AK. Emilia Malessa wątpiła w sens dalszego oporu w konspiracji, więc po własnym aresztowaniu uwierzyła ubeckiemu pułkownikowi, że jeśli ujawni kolegów, włos im z głowy nie spadnie. Oczywiście wszystkich potem aresztowano, a i ona sama trafiła za kraty. W więzieniu i na wolności protestowała – wreszcie w akcie rozpaczony popełniła samobójstwo.

Niemal o zdradę oskarżano pułkownika Jana Rzepeckiego, czyli prezesa I Zarządu WiN. On też z aresztu wydał zalecenie ujawniania się. Powszechnie uważano, że załamał się psychicznie pod naciskiem bezpieki. Władza ludowa nie mogła dostać lepszego prezentu niż wysoko postawiony akowiec (Rzepecki był podczas wojny szefem Biura Informacji i Propagandy), który na własnym procesie potępiał emigracyjne władze – a to właśnie stało się udziałem Rzepeckiego.

Ujęci przez bezpiekę winowcy czasem sypali, czasem stawali się w organizacji "kretami" – z różnych powodów. Nierzadko wątpili w sens oporu. Chcieli ratować swoje życie, a czasem wierzyli, że uratują życie innych.

Do zagrania z bezpieką na jej warunkach zmuszono też podpułkownika Łukasza Ciepłińskiego – szefa IV Zarządu WiN. Skłoniono go (także torturami, o czym niżej) do zdekonspirowania współpracowników, obiecując dla nich coś w rodzaju amnestii. Ciepłiński mógł polegać tylko na "słowie honoru" własnych oprawców.

Zarząd czwarty i ostatni

Zrzeszenie nigdy nie miało realnej szansy przeżycia – i najlepiej widać to po czasie, w jakim działały jego poszczególne Zarządy. I Zarząd w całości wyeliminowano po dwóch miesiącach. Zarząd II – pułkownika Franciszka Niepokólczyckiego, dawnego zastępcy dowódcy Kedywu KG AK – działał jako tako przez pół roku. Jego prezesa aresztowano jesienią 1946 r.

Zarządowi III, skupiającemu działaczy z dalszych już szeregów, dano tylko trzy miesiące. Trafili do więzienia, zanim zdążyli podjąć decyzję o wstrzymaniu działalności. WiN już wtedy dogorywało. A bezpieka była tym bardziej zaciekle, im bliżej było do wyznaczonych na styczeń 1947 r. wyborów.

Podpułkownik Ciepliński, obejmując IV Zarząd, stanął właściwie na czele organizacji szkieletowej i lokalnej (głównie Małopolska). Działało w niej może kilkaset osób. "Każda propozycja współpracy przyjmowana jest z wielką rezerwą i zastrzeżeniami mimo osobistych sympatii i zaufania" – pisano w wewnętrznych raportach. Ten opór przeciw narzuconej z Kremla władzy miał już wymiar głównie symboliczny.

Już po sfałszowanych – przy braku reakcji Zachodu – wyborach do Sejmu, przyszedł czas na ostatnią rozprawę. Jesienią 1947 r. aresztowano w całym kraju parę tysięcy ludzi, niejako "na starcie" stawiając im zarzut współpracy z WiN. Bezpieka miała nadzieję, że w tak szeroko rozpostartą sieć wpadnie też Zarząd Zrzeszenia.

Cieplińskiego namierzono w Zabrze, gdzie koncentrowała się działalność jego Zarządu. Prowadził sklep z tkaninami. To była jego przykrywka i kiedy z Urzędu Wojewódzkiego wezwano go pilnym telefonem, nie spodziewał się podstępu. Wraz z nim niemal jednocześnie wpadło blisko 20 osób związanych z IV Zarządem.

"Hieny", "agenci" i "sprzymierzeńcy faszystów"

Proces miał być inny niż poprzednie sprawy winowców. I Zarząd WiN sądzone w nieprzypadkowym terminie – w przeddzień wyborów do Sejmu. Oskarżonych wprawdzie zmieszano z błotem, nazywając ich "agentami" czy "hienami w ludzkiej postaci", ale mimo wyroków śmierci w końcu ich ulaskawiono. Ta "wspaniałomyślność" była obliczona na wywołanie w podziemiu kolejnych podziałów.

Proces II Zarządu, tzw. proces krakowski, służył głównie temu, by z nielegalnym WiN "powiązać" legalne jeszcze PSL, co było preludium do rozprawy właśnie ze Stronnictwem.

Winowców oskarżano przede wszystkim o działalność wywiadowczą. Nie bez przyczyny: szpiegostwo nie podpadało pod żadną amnestię. Kampania oskarżeń sięgnęła zenitu właśnie podczas procesu IV Zarządu. "Trybuna Ludu" pisała o "zdrajcach narodu i szpiegach na żołdzie amerykańskim". Sam zaś Ciepliński był określany jako "sprzymierzeniec hitlerowskich oprawców".

Kim w rzeczywistości byli oskarżeni? Ciepliński walczył był w bitwie nad Bzurą i za zniszczenie kilku niemieckich czołgów dostał Virtuti Militari. Jego zastępca w IV Zarządzie, Adam Lazarowicz, wstąpił się jako świetny konspirator na Podkarpaciu, a jego podwładni m.in. zdobyli części niemieckich pocisków V-1 i V-2, które potem trafiły w ręce aliantów. Na tych samych terenach walczył też z Niemcami w akcji "Burza" Józef Rzepka. M.in. takich ludzi nazywano "zdrajcami narodu".

Po kilka śmierci na głowę

Każdy z nich przeszedł blisko trzyletnie ciężkie śledztwo, któremu ze szczególną uwagą przyglądało się NKWD. Cieplińskiego złamano i zmuszono do wydawania kolegów; torturował go osobiście osławiony płk Różański. "Zeznania te nie są moje... Mój stan psychiczny był taki, że nie mogłem sobie zdawać sprawy z tego, co pisał oficer śledczy... Leżałem skatowany w kałuży własnej krwi..." – to słowa ostatniego prezesa WiN.

Przed sądem mówił też: "Staję przed zarzutem zdrady narodu polskiego, a przecież życie moje Polsce ofiarowałem i dla niej chciałem pracować. Dla mnie sprawa polska była największą świętością".

Wojskowy Sąd Rejonowy skazał go na pięciokrotną karę śmierci i 30 lat więzienia. Józef Batory dostał "czapę" dwukrotną, Mieczysław Kawalec i Franciszek Błażej – czterokrotną, Lazarowicz – także czterokrotną i 33 lata więzienia. Listę skazanych zamykali Rzepka i Karol Chmiel.

Gestapowcy dostają listy, winowcy nie mają grobów

Pod koniec stycznia zdołał Ciepliński wysłać gryps: "Kochana Wisiu! Jeszcze żyję, chociaż są to prawdopodobnie już ostatnie dla mnie dni. Siedzę z oficerem gestapo. Oni otrzymują listy, a ja nie. A tak bardzo chciałbym otrzymać parę słów Twoją ręką napisanych" – tak żegnał się z żoną.

Wezwano ich wieczorem 1 marca – wszystkich siedmiu. Towarzysze z wieloosobowej celi stanęli w dwuszeręgu na baczność. Po drodze na miejsce straceń Ciepliński jeszcze na dziedzińcu przyklęknął, by wyjąć ukrywany w bucie medalik. Włożył go do ust – jednemu ze współwięźniów miał powiedzieć, że tak będzie można rozpoznać potem ciało.

Ciepliński zginął pierwszy. Chmiel próbował się oprawcom wrywać. Zabijano ich co pięćdziesiąt minut, strzelając w tył głowy. Wszystko to działo się w piwnicach budynku gospodarczego więzienia na Mokotowie. Pochowano ich w bezimiennych mogiłach, najprawdopodobniej na tzw. Łączce, która stała się grobem dla setek innych bohaterów polskiego podziemia.

Gdy ginęli, prawdziwego WiN dawno już nie było. Bezpieka po aresztowaniu Cieplińskiego stworzyła fikcyjny V Zarząd Zrzeszenia. Ta rozciągnięta na kilka lat prowokacja, tzw. operacja "Cezary", była grą skierowaną przeciw władzom emigracyjnym i wywiadowi amerykańskiemu. A w kraju skaptowani i podstawieni przez bezpiekę "winowcy" doprowadzili do wielu jeszcze aresztowań. To był smutny epilog historii WiN.

"Antrakt między wojnami" – o którym na progu nowej okupacji pisano w dokumentach WiN – przerodził się w zimną wojnę i miał trwać jeszcze 40 lat. Niektóre haniebne wyroki na bohaterów polskiego podziemia czekały na unieważnienie jeszcze dłużej. A przywracanie tym bohaterom należnej im pamięci potrwa jeszcze latami.